CZECHY

Andrej Babiš na szczycie przywódców Unii Europejskiej w Brukseli

fot. Eric Vidal/Reuters/Forum

Niezatapialny?

Czeski premier i miliarder Andrej Babiš na ostatniej prostej przed wyborami został jednym z bohaterów międzynarodowego skandalu wokół Pandora Papers – dokumentów obnażających mechanizm przenoszenia przez światową elitę zysków do rajów podatkowych

Magdalena Cedro, Klara Klinger

W niedzielę tydzień temu zrzeszający dziennikarzy śledczych portal Investigace.cz odpalił bombę: Andrej Babiš prawdopodobnie wyprał 15 mln euro, kupując m.in. pałacyk pod Cannes i kilka innych nieruchomości na francuskiej Riwierze. Pikanterii sprawie dodaje to, że obecny szef rządu buduje swoją pozycję polityczną m.in. na walce z korupcją, rajami podatkowymi i szerzej – z elitami. Po wycieku pierwszych dokumentów w głośnej aferze Panama Papers sprzed kilku lat ogłosił publicznie, że to „południowamerykańske państewko" nie jest miejscem, gdzie się robi transparentne interesy i że trzeba sprawdzić, kto z czeskich obywateli zarejestrował tam majątek. Teraz się okazuje, że jednym z tych obywateli jest on sam.

Z dokumentów, do których dostęp dostali czescy dziennikarze, wynika, że w 2009 r. jedna z panamskich kancelarii prawnych otrzymała zlecenie, żeby w największej dyskrecji założyć dla pewnego Czecha firmę w raju podatkowym. Tym klientem, jak twierdzi Investigace.cz, był właśnie Andrej Babiš, wtedy jeszcze biznesmen. Cztery miesiące później na konto nowej firmy (Blakey Finance Ltd.) wpłynęło 15 mln euro z innej należącej do niego spółki. Pieniądze zostały następnie przesunięte do kolejnej firmy, zarejestrowanej w Waszyngtonie, a ta za pośrednictwem swojej monakijskiej spółki córki zakupiła 16 nieruchomości we Francji. Nie ma umów pożyczki między firmami, a te uczestniczące w przekazywaniu pieniędzy już nie istnieją. Wszystkie w mniejszym lub większym stopniu były związane z obecnym premierem Czech.

Dlaczego Andrej Babiš, który już wtedy należał do najbogatszych Czechów, nie kupił sobie po prostu pałacyku we Francji? Eksperci mówią wprost: takie przekazywanie pieniędzy przez offshore'owe spółki służy ukrywaniu ich pierwotnego źródła. Firma, która kupuje nieruchomości, ma dowód na pochodzenie majątku, więc teoretycznie prowadzi legalne interesy. W tym przypadku źródłem była pożyczka od innej spółki. Skąd jednak miał je sam Babiš, to już nie jest jasne.

Jest jeszcze jeden bonus takich operacji: nie trzeba od nich płacić podatku ani wykazywać ich w zeznaniu majątkowym.

Nawet jeśli to sprawa dla policji, a bezpośrednich dowodów na pranie pieniędzy nie ma, to – jak piszą czescy dziennikarze śledczy w tekście „Pandora Papers: w roli głównej Andrej Babiš" – premier włożył wiele wysiłku, żeby ukryć, że jest właścicielem 15 mln euro. A to już budzi podejrzenia. Sprawą może się zająć policja – obywatel uciekł z kraju z płaceniem podatków, a swoich firm zarejestrowanych w Panamie nie wykazał w zeznaniu majątkowym już jako polityk. Za to ostatnie grozi mu zapłata 50 tys. koron, czyli ok. 9 tys. zł. To śmiesznie mało, zwłaszcza w porównaniu z tym, że może stracić swój majątek we Francji. Zgodnie bowiem z tamtejszymi przepisami ma on obowiązek wykazać, skąd pochodziło 15 mln euro, za które nabył nieruchomości. Śledztwo mogą wszcząć również Amerykanie, a to dlatego, że w potencjalne pranie pieniędzy była zamieszana spółka zarejestrowana w Waszyngtonie.

Dmuchany flaming

Premier nie ukrywał, że ma coś wspólnego z malowniczą miejscowością Mougins na Lazurowym Wybrzeżu. To tutaj spędzał większość wakacji, to stąd wrzucał na Instagrama zdjęcia, np. jak leży w basenie, przygotowując się do ciężkich obowiązków politycznych. Jego żona Monika w tym samym basenie robiła sobie zdjęcia z koleżankami i dmuchanym flamingiem, opatrując je hashtagiem #Cannes. Nikt jednak nie wiedział, że są właścicielami nie tylko uroczego pałacu, ale i połowy ulicy, przy której stoi. To zresztą tutaj, jeszcze jako minister finansów, Andrej Babiš otworzył restaurację Paloma, która zyskała dwie gwiazdki Michelin.

Pandora to nowa sprawa, tymczasem za premierem nadal ciągną się upiory przeszłości. Jak przed poprzednimi wyborami na tapecie jest afera Bocianiego Gniazda. Chodzi o ośrodek konferencyjno-wypoczynkowy, który otrzymał 1,9 mln euro dotacji z unijnych funduszy. Pieniądze pochodziły z programu dla MSP, więc aby je zdobyć, Babiš miał przepisać swoją firmę na inne osoby.

W tej sprawie dodatkowo pojawił się wątek obyczajowy. Przeciw ojcu stanął syn. Nie jest to jednak zwykła kłótnia rodzinna, Andrej junior był bowiem jedną z tych osób, na które Babiš przepisał swoje przedsiębiorstwo. Co ciekawe, kiedy zaczęły się tym interesować media i policja, syn został najpierw zamknięty w szpitalu psychiatrycznym, a następnie przewieziony na Krym. Ostatecznie trafił do Szwajcarii, gdzie dotarli do niego dziennikarze śledczy. Babiš junior powiedział im, że jest szantażowany, a w Szwajcarii znalazł się na polecenie ojca, który wcześniej go porwał. Opiekę psychiatryczną nad synem premiera sprawowała zaś lekarka, która jest politykiem partii Babiša. Startowała z jej list wyborczych do parlamentu, a w ostatnich latach była formalnie zaangażowana w prace nad reformą systemu ochrony zdrowia. Wyprawę na Krym koordynował... mąż pani psychiatry, Rosjanin parający się m.in. sprzedażą części samochodowych. W czerwcu tego roku junior wrócił do Czech, dostał dokumenty ▸

poświadczające, że jest zdrowy psychicznie (tym razem od psychiatry związanej z opozycją) i oskarżył ojca o kłamstwa, a także złożył na policji obszerne zeznania w sprawie Bocianiego Gniazda.

Holding Babiša ojca – Agrofert – to konglomerat ponad 250 firm. Należy do niego duża część branży chemicznej i rolno-spożywczej w Czechach i sąsiednich krajach. W 2007 r. Bocianie Gniazdo zostało z niego wydzielone i jako spółka akcyjna formalnie trafiło w ręce akcjonariuszy – dorosłych dzieci miliardera oraz jego szwagra (brata jego partnerki Moniki, tej od flamingów, dla której obecny premier porzucił matkę Andreja juniora). Po otrzymaniu dotacji firma w ciągu kilku lat powróciła do rąk starszego Babiša. Przed poprzednimi wyborami miliarder postawił na ocieplenie wizerunku i na ostatniej prostej wziął z Moniką ślub w Bocianim Gnieździe. Media skupiły się na detalach sukni panny młodej i weselnym menu. Kontrola OLAF (Europejskiego Urzędu ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych) potwierdziła natomiast nieprawidłowości w pozyskiwaniu dotacji. Sprawa została umorzona, a następnie wznowiona przez czeskie służby, ale ewentualne oskarżenie dotyczy już tylko samego Babiša i głównej menedżerki ośrodka.

Elita kontra elita

W 2014 r. miliarder Andrej Babiš założył partię o wdzięcznej nazwie ANO 2011. „Ano" oznacza „tak", a zarazem jest skrótem od pełnej nazwy Akcja Niezadowolonych Obywateli. Jeszcze na kilka miesięcy przed wyborami nic nie wskazywało, że odniesie sukces w polityce. W sondażach miał kilka procent poparcia. Ostatecznie partia weszła do izby poselskiej z drugim najwyższym wynikiem: 18 proc. Dzięki temu Babiš dostał się do koalicji rządzącej, otrzymując funkcję ministra finansów i wicepremiera. Po kolejnych wyborach został już premierem. Teraz szykuje się po raz drugi do pełnienia tej funkcji (już dostał od prezydenta obietnicę, że jeżeli jego partia będzie na pierwszym miejscu, to powierzy mu tę funkcję). Babiša popiera ta część elektoratu, która w ogóle jest nieufna wobec polityków. W końcu obecny szef rządu utorował sobie drogę na polityczny szczyt hasłami wymierzonymi w establishment. Zapowiadał walkę z korupcją i elitami. A kiedy okazało się, że jest ich częścią i nie odbiega standardami od atakowanej klasy politycznej, wyborcy przy nim pozostali, bo uważają, że dzięki niemu przynajmniej żyje im się lepiej.

Jeśli teraz Babiš przegra, to mogą posypać się wyroki. Dlatego Pandora Papers wytrąciła go ze strefy komfortu i utrudniła mu końcówkę kampanii. Musiał się liczyć z niewygodnymi pytaniami dziennikarzy i krytyką ze strony rywali. David Ondráčka, były szef czeskiego oddziału Transparency International, nie spodziewa się jednak, by zamieszanie odbiło się na notowaniach Babiša i jego ugrupowania w tych wyborach parlamentarnych.

– Jest w stanie wytłumaczyć wyborcom wszystko i oni te tłumaczenia przyjmują. Teraz mówi o tym, że wyniki śledztwa ujrzały światło dzienne tuż przed wyborami specjalnie, by wpłynąć na wyniki. Moim zdaniem to wystarczy, wyborcy to kupią. Polityka dla wielu Czechów to bagno, ale Babišowi udało się przekonać swoich wyborców, że on pływa w tym bagnie dla nich – mówi Ondráčka.

– Babišovi udaje się jak na razie wszystkie skandale przedstawić jako spisek przeciwko niemu i w jego twardym elektoracie taka narracja przechodzi. Według niedawnego badania opinii publicznej wykonanego na nasze zlecenie ludzie wprawdzie nie uważają go za uczciwego, ale ważniejsze są dla nich wyższe wynagrodzenia i emerytury czy takie praktyczne kwestie jak remont autostrady D1 – wylicza Josef Pazderka, redaktor naczelny portalu Aktualne.cz. Ostatnia sprawa może jednak jego zdaniem wpłynąć na wahających się, bo pokazuje, że Babiš jest po prostu kłamcą.

Warto jednak przypomnieć, że dzisiejszy premier był ministrem finansów w koalicyjnym rządzie Bohuslava Sobotki w latach 2014–2017. Kiedy Babišowi zarzucono, że jako prezes Agrofertu unikał płacenia podatków w 2012 r., Sobotka usunął go z rządu. Wywołało to kryzys koalicyjny, który zakończył się rozpisaniem przedterminowych wyborów w 2017 r. I Babiš... je wygrał.

W ocenie Ondráčka Pandora Papers długofalowo może mieć poważne konsekwencje dla czeskiego premiera. – W śledztwie dziennikarskim nie tylko figuruje on jako osoba, która korzysta z offshore'u, lecz padają także zarzuty, że może brać udział w praniu pieniędzy – mówi.

Czy obecny premier poniesie kiedyś odpowiedzialność przed czeskim wymiarem sprawiedliwości? – Przejmowanie państwa jest już na takim etapie, że Babiš nie musi się obawiać czeskich służb, zwłaszcza że jednostka odpowiedzialna za walkę z nadużyciami finansowymi i praniem pieniędzy podlega resortowi finansów, który on kontroluje – zauważa David Ondráčka. – Powiedzenie, że czeska policja nie działa, byłoby przesadą. Ale z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, by Babiš miał zostać niebawem skazany – podkreśla.

Prounijny eurosceptyk

Co na to wszystko UE? Babiš od lat występuje w podwójnej roli – z jednej strony kontroluje biznes, który korzysta z unijnego dofinansowania, z drugiej decyduje o eurofunduszach w Czechach. Dopiero w tym roku Komisja Europejska podjęła bardziej radykalne kroki. Po zakończonej w kwietniu kontroli przyznała, że istnieje konflikt interesów. Europosłowie chcieli, by Babiš oddał część pieniędzy, ale KE nie widziała do tego podstaw. W ocenie Brukseli w Czechach brakuje mechanizmu, który mógłby zapobiegać tego typu konfliktowi interesów. Dobrą okazją są plany narodowe, które państwa członkowskie musiały złożyć w Brukseli, by otrzymać pieniądze z Funduszu Odbudowy. Podobnie jak w przypadku polskiego KPO, Komisja użyła dokumentu, by zobowiązać czeski rząd do przeprowadzenia zmian w prawie – wprowadzenia ochrony funduszy przed nadużyciami, korupcją i konfliktami interesów. I w końcu zdecydowała, że choć zwrotu pieniędzy już wypłaconych domagać się nie będzie, to zawiesi dalsze wypłaty dla kontrolowanego przez Babiša Agrofertu, jednego z największych pracodawców w kraju.

– Komisja Europejska dopatrzyła się u czeskiego premiera konfliktu interesów, który do tej pory nie został rozwiązany. Dlatego szefowie państw i rządów muszą wykluczyć go ze wszystkich odnoszących się do tych kwestii negocjacji. Babišowi nie można pozwolić na współdecydowanie w Brukseli o źródłach jego samowzbogacania się – postulował ostatnio niemiecki europoseł Daniel Freund (Zieloni).

Czeskiemu premierowi udaje się uniknąć otwartego konfliktu z Unią Europejską, bo w odróżnieniu od rządów w Polsce i na Węgrzech nie daje Brukseli wielu pretekstów do działania. Jak podkreśla Wojciech Przybylski, redaktor naczelny Visegrad Insight, główna różnica polega na tym, że czeski premier nie przeprowadza zmian systemowych w wymiarze sprawiedliwości czy mediach, nie próbuje meblować sądów na nowo. Działa punktowo – we własnej sprawie.

W kraju czeski przywódca nie stroni od haseł wymierzonych w politykę klimatyczną i migracyjną UE, ale nie obnosi się ze swoją krytyką w Brukseli i dba o dobre relacje z innymi przywódcami na europejskich szczytach. A w KE liczy na przychylność czeskiej komisarz ds. praworządności Very Jourovej, która otrzymała nominację na to stanowisko jako członkini jego partii. Tym bardziej paradoksalne jest, że jej dymisji domaga się węgierski rząd Viktora Orbána, który jest bliskim sojusznikiem czeskiego premiera i który wsparł go osobiście w kampanii wyborczej.

Jak czeski przywódca radzi sobie z pogodzeniem tych rozbieżności? – Babiš to biznesmen, a nie polityk. W obszarze jego zainteresowania przede wszystkim leży czeski budżet, a poglądy polityczne nie mają specjalnego znaczenia. – Politycznie on może być kimkolwiek. Jednego dnia będzie zaciekłym antyunijnym konserwatystą, drugiego komunistą, a trzeciego miłującym ekologię zielonym. Zależy, w czym ma akurat interes – słyszymy od ekspertów. ©℗

ŚWIAT

Pranie reputacji

W londyńskim światku dziennikarskim jest tajemnicą poliszynela, że jeśli nazwiesz Leonarda Blavatnika „oligarchą", to oskubie cię do zera. Zamiast tego każe mówić o sobie: **„amerykańsko-brytyjski filantrop o żydowsko-ukraińskich korzeniach"**

Magdalena Miecznicka
korespondencja z Londynu

Leonard Blavatnik, najbogatszy człowiek w Wielkiej Brytanii, podejmuje gości na pokładzie swojego jachtu Odessa II. Cannes 2016 r.

fot. David M. Benett/Getty Images

Na początku sierpnia tego roku HarperCollins, wydawca książki „Putin's People" („Ludzie Putina") autorstwa dziennikarki śledczej Catherine Belton, przeprosił rosyjskiego bankiera Michaiła Fridmana i jego współpracownika Piotra Awena za sugestie, że mieli związki z KGB. Kolejne wydania publikacji ukażą się z odpowiednimi korektami. Teraz autorka i HarperCollins czekają już tylko na wyrok sądu w sprawie pozwu Romana Abramowicza i rosyjskiego giganta energetycznego Rosnieft. Orzeczenie ma zapaść w październiku. Wszystko odbywa się oczywiście w sądzie w Londynie.

Belton, była korespondentka „Financial Times" w Moskwie, pracowała nad swoją książką przez kilka lat. W szczegółowym śledztwie zebrała i opisała mechanizmy dojścia Putina do władzy oraz awansu jego ludzi. Dla zainteresowanych Rosją jej ustalenia rzadko były zaskoczeniem, ale wiele osób czekało na wyczerpujące opracowanie tematu.

Nie spodobało się ono niektórym bohaterom. Abramowicz pozwał dziennikarkę za stwierdzenie, że kupił klub piłkarski Chelsea na życzenie Putina. Firma Rosnieft z kolei poczuła się dotknięta fragmentami, z których wynika, że nabycie przez nią części Jukosu, kiedy Kreml rozprawiał się z Michaiłem Chodorkowskim, nie było transakcją krystalicznie uczciwą.

Choć bestsellerowa książka Belton ukazała się również w USA, możni na miejsce złożenia pozwu wybrali Londyn. Nie bez przyczyny. – Brytyjskie prawo o ochronie dobrego imienia słynie na całym świecie z tego, że faworyzuje bogatych – mówi DGP Elisabeth Schimpfoessl, autorka książki „Rich Russians: From Oligarchs to Bourgeoisie" („Bogaci Rosjanie: od oligarchów do burżuazji") i wykładowczyni Aston University. Jak zauważa, w Wielkiej Brytanii wystarczy, że miliarder poczuje się oczerniony, a to dziennikarz będzie musiał udowodnić w sądzie, że wszystko, co mówi, jest prawdą. W USA jest na odwrót: to na rzekomo zniesławionym spoczywa obowiązek wykazania, że dziennikarz kłamał – i to kłamał umyślnie, kierując się złymi intencjami. – Dlatego ja wydałam moją książkę w amerykańskim oddziale Oxford University Press. Ale wydawnictwo i tak zaangażowało prawnika, który przeczytał uważnie każde zdanie – przyznaje Schimpfoessl.

Po co rosyjscy miliarderzy wnieśli sprawy przeciw Belton? – O ile Abramowicz być może faktycznie zdenerwował się na Belton za sugestię, że kupił Chelsea na polecenie Putina, o tyle zdziwił mnie pozew Fridmana i Awena za fragmenty o ich związkach z KGB. Robienie z tego rozgłosu wydało mi się niezgodne z ich charakterem – tłumaczy Schimpfoessl. – Niektórzy eksperci od Rosji przypuszczają raczej, że takie kroki zostały im narzucone przez górę. Kreml był wściekły, bo Aleksiej Nawalny nagrał wideo o książce Belton i stało się ono niesłychanie popularne w Rosji – dodaje.

> **Kreml przez lata popierał wykorzystywanie brytyjskich sądów do rozstrzygania rosyjskich sporów – zaznacza Schimpfoessl. Dlaczego? – Bo w Rosji nie ma rządów prawa. Ale kiedy już ma się pieniądze, rządy prawa okazują się przydatne do ich ochrony**

Usłużne ustawodawstwo

Niektórzy bogacze nie pozwalają się nawet określać publicznie „oligarchami". – W londyńskim światku dziennikarskim jest tajemnicą poliszynela, że jeśli nazwiesz Leonarda Blavatnika „oligarchą", to oskubie cię do zera. Zamiast tego każe mówić o sobie: „amerykańsko-brytyjski filantrop o żydowsko-ukraińskich korzeniach" – wyjaśnia Schimpfossl. Sir Leonard Blavatnik jest najzamożniejszym Brytyjczykiem i 35. najbogatszym człowiekiem na świecie o majątku równym 39,9 mld dol. Od Francji otrzymał Legię Honorową, od królowej Elżbiety II tytuł szlachecki. Regularnie wspiera finansowo obie główne partie polityczne w Stanach Zjednoczonych. Do USA wyjechał z rodzicami pod koniec lat 70. jako 21-latek, skończył Uniwersytet Columbii i Harvarda, a po dyplomie został biznesmenem. – Blavatnik zrobił majątek na ropie naftowej i metalach w Rosji w latach 90. Był zaufanym człowiekiem Putina. Rosjanie chętnie z nim pracowali, bo miał obywatelstwo amerykańskie, mieszkał w USA od wczesnej dorosłości i umiał się dogadać z ludźmi z Zachodu. Jest modelowym przykładem człowieka, który z sukcesem przeprowadził procedurę prania reputacji – przekonuje Schimpfoessl.

Rzeczywiście, kiedy czyta się artykuły na temat Blavatnika w „New York Timesie" (np. felieton Ann Marlowe z 2018 r. „Is Harvard Whitewashing a Russian Oligarch's Fortune?") i porówna je z brytyjskimi publikacjami o filantropie, można mieć wrażenie, że dziennikarze z Wysp boją się własnego cienia. Ale trudno się dziwić, skoro sądy nie oddalają rutynowo spraw o zniesławienie. – Wielka Brytania jest rajem dla miliarderów nie tylko dzięki usłużnemu im ustawodawstwu, lecz także przez potwornie wysokie koszty usług prawnych. Freelancerów każda sprawa rujnuje na dzień dobry – mówi Schimpfoessl.

W Londynie składane są również pozwy o zniesławienie, które nie mają żadnego związku ze Zjednoczonym Królestwem. „Reporterzy piszący o przestępstwach finansowych i korupcji w innych krajach są straszeni pozwami w Wielkiej Brytanii częściej niż w USA i wszystkich państwach Unii Europejskiej razem wziętych" – pisał rok temu „Guardian". – „Wśród pozwanych byli wydawcy z Bośni, Cypru, Malty, RPA i Angoli. Pozywający nie muszą być Brytyjczykami. Wystarczy, że udowodnią jakiś związek z UK, dom albo biznes".

Oligarchowie od lat wybierają brytyjskie sądy także do wzajemnej walki o pieniądze i udziały w firmach. Przed tajemniczą, rzekomo samobójczą śmiercią Boris Bierieziowski przegrał w londyńskim sądzie ze swoim dawnym wychowankiem Romanem Abramowiczem proces o 3 mld funtów dotyczący prywatyzacji rosyjskiej spółki Sibnieft (dziś Gazprom Nieft). – Kreml przez lata popierał wykorzystywanie brytyjskich sądów do rozstrzygania rosyjskich sporów – zaznacza Schimpfoessl. Dlaczego? – Bo w Rosji nie ma rządów prawa. Ale kiedy już ma się pieniądze, rządy prawa okazują się przydatne do ich ochrony – wyjaśnia. Także dlatego rosyjscy milionerzy jak diabeł święconej wody boją się sankcji. – Dwa lata temu m.in. Oleg Deripaska i Wiktor Wekselberg (rosyjscy oligarchowie powiązani z Kremlem – red.) zostali wciągnięci na listę osób objętych sankcjami USA. Wiadomo, że dla Wekselberga było to bardzo trudne, bo ma rodzinę i przyjaciół w USA. Gdyby Deripaskę takie sankcje spotkały ze strony Wielkiej Brytanii, byłby w kropce, bo utraciłby jeszcze tutejsze sądy – dodaje Schimpfoessl.

W Wielkiej Brytanii najsłynniejszym orędownikiem wprowadzenia sankcji przeciw osobom uwikłanym w naruszenia praw człowieka i korupcję jest mieszkający w Londynie Amerykanin Bill Browder, dawniej największy zagraniczny inwestor w Rosji. Jako współzałożyciel i szef funduszu inwestycyjnego Hermitage Capital Management padł ofiarą prześladowań ze strony Kremla. Siergiej Magnitski – księgowy, którego zatrudnił Browder – zmarł w moskiewskim więzieniu w 2007 r. Kampania biznesmena przyczyniła się do nałożenia przez Wielką Brytanię i USA zakazu podróżowania i restrykcji finansowych na cudzoziemców uwikłanych w naruszenia praw człowieka. – Sankcjami obejmowani są urzędnicy, ale nadal za mało jest sankcji przeciw oligarchom, takich jak te, które na Deripaskę i Wekselberga nałożyli Amerykanie. Dobrze by było, gdyby Wielka Brytania też zaczęła robić to, o czym tylko wygłasza

umoralniające kazania. Na początek np. sankcje dla 20 najbogatszych oligarchów związanych z Londynem – dowodzi Schimpfoessl. Jej zdaniem sankcje gospodarcze są przeciwskuteczne, bo dają Kremlowi możliwość obwiniania Zachodu za niepowodzenia rosyjskiej gospodarki i podkręcania antyzachodniej retoryki. A samych winnych dotykają w mniejszym stopniu.

Najściślejsza elita

Z ujawnionych w ubiegłą niedzielę Pandora Papers Brytyjczycy dowiedzieli się m.in., kto sponsoruje rządzącą krajem Partię Konserwatywną. Jednym z bohaterów przecieków jest Wiktor Fedotow, współwłaściciel spółki Aquind, walczącej o zgodę na kontrowersyjne połączenie energetyczne pod kanałem La Manche, a także malowniczej posiadłości Aragon Hall w hrabstwie Hampshire, którą kupił za 7 mln funtów. Wraz ze swoim wspólnikiem Aleksandrem Temerko Fedotow wydał na torysów ponad 1,1 mln funtów. Pochodzący z Ukrainy Temerko zdołał się nawet zaprzyjaźnić z premierem. Dziennikarze BBC i „Guardiana", którzy przeanalizowali dokumenty, znaleźli dowody na to, że Fedotow wzbogacił się na wielomiliardowym przekręcie na rosyjskiej ropie. Kolejne odkrycie dotyczy wpływowej sponsorki konserwatystów, moskwiczanki z brytyjskim paszportem Lubov Chernukhin. Ta 48-letnia elegancka blondynka od 2012 r. zainwestowała w partię rządzącą ponad 2 mln funtów (np. wygrała aukcję o mecz tenisa z premierem Johnsonem). W przeszłości była związana z sektorem bankowym; dziś jest przede wszystkim żoną swojego męża Władimira, oligarchy i byłego ministra finansów w rządzie Putina.

Pandora Papers wniosły też nowe szczegóły dotyczące Mohameda Amersiego, biznesmena z branży telekomów, filantropa i kolejnego szczodrego darczyńcy torysów – ożenionego zresztą z Rosjanką. Amersi już wcześniej był oskarżany o przyjmowanie pieniędzy od Rosjan z kręgu Putina. Dziennikarze BBC i „Guardiana" twierdzą, że są dowody na jego udział we wręczeniu wielomilionowej łapówki dotyczącej prywatyzacji jednego z przedsiębiorstw córce prezydenta Uzbekistanu.

W ubiegłym roku Komisja Parlamentarna ds. Wywiadu i Bezpieczeństwa opublikowała raport na temat rosyjskiej ingerencji w brytyjską politykę (w tym referendum brexitowe). Dokument gotowy był w połowie 2019 r., ale rząd blokował jego publikację, wystawiając się na zarzuty o próbę ukrycia sprawy przed wyborami do parlamentu, które zaplanowano na grudzień tamtego roku. Kiedy wreszcie dokument się ukazał, wykazał czarno na białym to, co wielu dziennikarzy mówiło od dawna: dotacje, które Partia Konserwatywna otrzymywała z Rosji, są zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju. Można było też wyczytać, że wiele osób zasiadających w Izbie Lordów ma interesy biznesowe związane z Rosją albo wprost pracuje dla dużych firm związanych z państwem rosyjskim. W izbie wyższej brytyjskiego parlamentu zasiadają np. Lord Skidelsky, prezes zarządu rosyjskiej firmy naftowej RussNeft, oraz Lord Fairfax of Cameron, dyrektor Sovcomflotu UK, brytyjskiej gałęzi największej rosyjskiej firmy spedycyjnej Sovcomflot.

Sprawy tego rodzaju wypływają bez przerwy. Kilka miesięcy temu BBC Channel 4 i „Sunday Times" potajemnie nagrały księcia Kentu Michaela, kuzyna królowej, jak próbuje sprzedać osobom podającym się za biznesmenów dostęp do Władimira Putina. W zeszłym tygodniu media na Wyspach obiegła wiadomość, że George Osborne, były kanclerz skarbu, pierwszy sekretarz stanu w rządzie Davida Camerona, a od niedawna szef rady powierniczej British Museum, dostał pracę u Deripaski. Deripaska, przyjaciel Putina, którego dwa lata temu wciągnięto na listę osób objętych sankcjami USA, jest podejrzewany przez Amerykanów nie tylko o pranie pieniędzy, lecz także o wymuszenia, gangsterstwo, groźby karalne, przekupstwo, zakładanie nielegalnych podsłuchów i zlecenie zabójstwa. Osborne to zaś członek najściślejszej brytyjskiej elity: syn baroneta, absolwent Saint Paul's (jednej z najlepszych szkół średnich w kraju), potem zaś Oksfordu, gdzie, podobnie jak premier Boris Johnson, należał do elitarnego Klubu Bullingdona. Praca dla Deripaski to nie pierwsze jego zajęcie na rzecz rosyjskich oligarchów. Osborne był już redaktorem naczelnym „Evening Standard", londyńskiej popołudniówki należącej do Jewgienija Lebiediewa, syna byłego oficera KGB. Sam Lebiediew przyjaźni się z Borisem Johnsonem i to od niego otrzymał miejsce w Izbie Lordów.

– Tak, to jest skandaliczne. W Wielkiej Brytanii i innych demokracjach istnieje problem z tym, że byli urzędnicy państwowi pracują dla oligarchów i innych biznesmenów. To każe nam zadawać pytania o suwerenność naszych państw – mówi Ben Judah, brytyjski dziennikarz zajmujący się badaniem kleptokracji, autor wydanej także w Polsce książki „Nowi londyńczycy".

Wielka Brytania szczyci się 11. miejscem na liście najmniej skorumpowanych państw świata. Klasa średnia na Wyspach uważa się za uczciwą i lubi patrzeć z góry na watażków z kleptokrackich reżimów. Niektórzy „prawdziwi" londyńczycy przyznają nawet, że obchodzą szerokim łukiem dzielnice, w których zagnieździli się międzynarodowi milionerzy. Lubiana przez kosmopolityczne elity finansowe Kensington and Chelsea stała się dla niektórych mniej godna pożądania niż np. Hampstead na północy Londynu. Kiedyś w Hampstead mieszkali pisarze i intelektualiści, teraz na domy mogą sobie tam pozwolić głównie ci, którzy je odziedziczyli. Ale nadal w dzielnicy panuje inny niż klimat niż w Kensington. Nie wspominając o Bishops Avenue nieco na północ, zwanej Rzędem Miliarderów, gdzie swoje pałace mają Sułtan Brunei i prezydent Kazachstanu. Wielu londyńczyków mówi o tych miejscach ze wstrętem.

> **Z Pandora Papers Brytyjczycy dowiedzieli się m.in., kto sponsoruje rządzącą krajem Partię Konserwatywną. Jednym z bohaterów przecieków jest Wiktor Fedotow, współwłaściciel spółki Aquind, walczącej o zgodę na kontrowersyjne połączenie energetyczne pod kanałem La Manche. Wraz ze swoim wspólnikiem Aleksandrem Temerko Fedotow wydał na torysów ponad 1,1 mln funtów**

From Russia with Cash

Pojawiają się nawet opinie, że Wielka Brytania powinna być uznana za najbardziej skorumpowane państwo świata, na szarym końcu za Somalią i Południowym Sudanem. Według organizacji Transparency International 421 nieruchomości w Zjednoczonym Królestwie, wartych w sumie 5 mld funtów, zostało kupionych za podejrzane pieniądze, a jedną piątą klientów stanowili Rosjanie. To dane zgromadzone po przebadaniu otwartych źródeł oraz przecieków z rozpraw sądowych. Większość aktów własności jest utajona. Spekuluje się, że wiemy tylko o wierzchołku góry lodowej. National Crime Agency (brytyjski odpowiednik FBI) szacuje, że przez Wielką Brytanię przepływa rocznie 100 mld brudnych pieniędzy, z czego znaczna część należy do osób związanych z Władimirem Putinem i jego otoczeniem.

– Napływ bogatych ludzi z Rosji i Azji Środkowej do Wielkiej Brytanii zaczął się na dużą skalę w pierwszej dekadzie XXI w., kiedy tamtejsze kraje robiły duże pieniądze na gazie i ropie, których ceny poszły wtedy do góry – mówi DGP Tom Mayne, ekspert ds. walki z korupcją na Uniwersytecie Exeter. – Początek prawdziwego eldorado to 2008 r., kiedy wprowadzono tzw. wizy inwestorskie Tier 1 – dodaje. Zgodnie z programem wystarczyło zainwestować w Wielkiej Brytanii milion (a potem 2 mln funtów), by otrzymać prawo pobytu, które po pięciu latach zamieniało się w pobyt stały. Celem było ściągnięcie do kraju zamożnych ludzi spoza UE. – Na początku nie istniały żadne procedury sprawdzania, skąd pochodził kapitał ubiegających się o wizy, dlatego stał się on doskonałym sposobem na pranie pieniędzy – a także prawdziwą kompromitacją Wielkiej Brytanii, bo wpuszczono wielu złodziei, a pożytek dla państwa był marny – tłumaczy Mayne. – Obecnie wizy są sprawdzane, także wstecz. Kiedy ustanowiono dodatkowe obostrzenia – m.in. konieczność sprawdzenia pochodzenia pieniędzy przez niezależnych audytorów – liczba aplikacji z Rosji spadła drastycznie.

W 2015 r. działacz antykorupcyjny Borys Borysowicz spotkał się z kilkoma londyńskimi agentami z prestiżowych agencji nieruchomości, podając się za rosyjskiego urzędnika odpowiedzialnego za zakup leków. – Mam niewielką pensję. Ale przy każdym kontrakcie część idzie do mnie – mówił z silnym rosyjski akcentem. Przyprowadził ze sobą jasnowłosą Natalię Sedlecką, ukraińską dziennikarkę śledczą, która w szpilkach i futrze udawała jego dziewczynę Nastię. Ukrytą kamerą nagrali, jak agenci szacownych londyńskich firm ze zrozumieniem przyjmują informacje, że „moje nazwisko nie może się nigdzie ukazać, to są w 100 proc. fundusze z budżetu rosyjskiego ministerstwa zdrowia. Gdyby ktoś znalazł dziurę w budżecie ministerstwa równą wartości nieruchomości w Londynie, byłoby to dla mnie, no, jak to się mówi, nieco zawstydzające". Film, zatytułowany „From Russia with Cash", uświadomił wielu ludziom, jak wielką pralnią pieniędzy są londyńskie nieruchomości.

– Londyn objawił się wszystkim jako centrum prania pieniędzy w czasach Davida Camerona, po inwazji Rosji na Ukrainę – mówi Ben Judah. – W tym czasie ceny nieruchomości poszły drastycznie w górę i wielu Brytyjczyków zrozumiało, że nigdy nie będą w stanie kupić domu w stolicy. Szybujące ceny to problem na całym świecie związany z wieloma czynnikami – m.in. niskimi stopami procentowymi, zadłużeniem – ale w Londynie skok w niektórych dzielnicach można było powiązać z wykupywaniem przez multimilionerów z zagranicy – dodaje dziennikarz.

Czy Wielka Brytania walczy z napływem brudnych pieniędzy? Mayne jest sceptyczny. – Prezydent USA Joe Biden uczynił walkę z „ciemną kasą" jednym z haseł swojej prezydentury. Nie widzimy tego samego w przypadku Borisa Johnsona – mówi. – Ponieważ obracanie nielegalnie zarobionymi pieniędzmi często odbywa się za pośrednictwem spółek wydmuszek, od 2016 r. firmy muszą deklarować, kto jest ich rzeczywistym właścicielem, tzw. Beneficial Owner – wyjaśnia Mayne. Dodaje jednocześnie, że urzędy nadal tego nie sprawdzają. Ludzie robili sobie nawet żarty i wpisywali zmyślone nazwiska.

Zagraniczne spółki wydmuszki służą też do ukrywania prawdziwego nazwiska właściciela nieruchomości. – Kupuje się dom na firmę zarejestrowaną na Kajmanach, która z kolei należy do firmy zarejestrowanej na Saint Kitts and Nevis, i koniec – śledczy mogli ci naskoczyć – tłumaczyła mi niedawno osoba ze świata finansowego. Rząd od lat obiecuje, że wprowadzi prawo, zgodnie z którym nieruchomości będą musiały być rejestrowane na prawdziwego właściciela. Ustawa miała nawet wejść w życie w tym roku. Jednak prace nad projektem utknęły. Za to, jak wynika z Pandora Papers, wartkim strumieniem płyną miliony od ludzi, których imperia finansowe zarejestrowane są anonimowo właśnie w firmach wydmuszkach w rajach podatkowych.

Sieć towarzyska Kremla

Czy cokolwiek grozi brytyjskim pomocnikom rosyjskich miliarderów? – Istnieje prawo, zgodnie z którym przy kupnie nieruchomości należy wskazać, czy ktoś jest czy nie jest Politically Exposed Person (PEP), to znaczy politykiem albo bliskim polityka. Takie osoby powinny być skrupulatniej sprawdzane. W 2018 r. córki prezydenta Azerbejdżanu Leyla i Arzu Alijew próbowały kupić na tajemniczą zagraniczną spółkę dwie posiadłości w Londynie, a ich prawnik zataił, że mają status PEP, i nie sprawdził, czy nie piorą pieniędzy. Musiał zapłacić grzywnę (w sumie 85 tys. funtów wraz z kosztami sądowymi – red.] – mówi Mayne. „Guardian" pisał, że był to pierwszy przypadek takiej kary od czasu wycieku Panama Papers dwa i pół roku wcześniej, które ukazywały, do czego służą raje podatkowe i spółki wydmuszki. Pandora Papers pokazały zaś szeroki wachlarz innych inwestycji rodziny Alijewa. W 2009 r. 11-letni wówczas syn prezydenta kupił biurowiec w Londynie za 33,5 mln funtów. Całe imperium rodziny i wspólników prezydenta Azerbejdżanu w Wielkiej Brytanii warte jest ponad pół miliarda funtów. Oczywiście nie tylko Alijewowie kryli się za anonimowymi firmami wydmuszkami. W sumie Pandora Papers dokumentują 1,5 tys. posiadłości należących do tego typu zagranicznych firm o wartości ponad 4 mld funtów. Jak piszą BBC i „Guardian", ukraiński miliarder Hennadij Boholubow, podejrzewany przez FBI o współudział w defraudacji miliarda funtów z ukraińskiego banku PrivatBank, ma na Wyspach domy wartości 400 mln funtów, w tym budynek przy Trafalgar Square. Syn Michaiła Gucerijewa, rosyjskiego oligarchy objętego brytyjskimi sankcjami za wspieranie reżimu Alaksandra Łukaszenki, jest właścicielem londyńskiego biurowca opiewającego na 40 mln funtów. Posiadłości w Londynie mają też m.in. rodzina prezydenta Kenii i katarska rodzina królewska. Kupno rezydencji za pośrednictwem spółek z rajów podatkowych ma wiele zalet. Nie tylko pomaga ukryć majątek przed rodakami i fiskusem, lecz pozwala także ominąć kosztowną formalność w postaci stamp duty, czyli podatku od zakupu nieruchomości, obowiązującego w Wielkiej Brytanii. Nikt nie wie tego lepiej niż były premier kraju Tony Blair i jego żona Cherie, którzy nabyli budynek w Londynie za ponad 6 mln funtów poprzez przejęcie posiadającej go firmy, zarejestrowanej na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. W ten sposób para zaoszczędziła ponad 300 tys. funtów.

W 2017 r. na Wyspach wprowadzono tzw. Unexplained Wealth Order (UWO), rodzaj nakazu, który może wystawić komuś sąd, by ujawnił źródła majątku niemającego potwierdzenia w oficjalnych dokumentach. Ale na razie to narzędzie pozostaje na papierze, a multimilionerzy są w stanie ograć państwo brytyjskie w jego własnych sądach. – Jedną z pierwszych osób, które otrzymały ten nakaz, była córka byłego prezydenta Kazachstanu. Ojczyzna jej pomogła, wydając odpowiednie zaświadczenia, że wszystko zarobiła legalnie. National Crime Agency położyła sprawę. Ale taki jest problem, kiedy walczysz z ludźmi o nieograniczonych środkach i dostępie do najcwańszych prawników – mówi Mayne. „Evening Standard" napisał niedawno, że od dwóch lat UWO nie został użyty ani razu.

Mayne podaje kolejny przykład. Rosyjski bankier Dmitrij Leus wspierał charytatywnie m.in. księcia Karola, kampanię Dominika Raaba, byłego ministra spraw zagranicznych, a obecnie ministra sprawiedliwości. Leusowi odmówiono wizy inwestorskiej Tier 1, bo zataił, że był karany w Rosji za pranie pieniędzy. – Leus zaangażował jedną z największych firm prawniczych do udowodnienia, że jego skazanie było polityczne, co nie było prawdą – zaznacza.

Nawet jeśli rosyjscy oligarchowie walczą o dobre imię w brytyjskich sądach i kupują posiadłości w Londynie za dziesiątki milionów, lubią zachowywać rosyjskie obywatelstwo. Nawet Roman Abramowicz, mimo pozycji londyńskiego lwa salonowego, zachował swój paszport. – To dlatego, że ludzie ci potrzebują ciągłego dostępu do Kremla i jego sieci towarzyskiej – dodaje Schimpfoessl.

Jest jeden element brytyjskiego systemu prawnego, który nie podoba się rosyjskim oligarchom, za to bardzo podoba się ich żonom: prawo rozwodowe. W maju tego roku sąd apelacyjny w Londynie pozwolił Natalii Potaninie ubiegać się nad Tamizą o 6 mld dol. od byłego męża. Władimir Potanin to jeden z najbogatszych ludzi w Rosji. „Financial Times" szacuje jego majątek na 20 mld dol., do tego dochodzi pakiet kontrolny akcji firmy surowcowej Norilsk. Potaninowie rozwiedli się kilka lat temu w Rosji, a tamtejszy sąd przyznał kobiecie 41,5 mln dol. Biorąc pod uwagę majątek jej męża, to mniej więcej tyle, co na waciki. Małżeństwo miało wówczas słabe więzi z Wielką Brytanią, ale od tamtego czasu Potanina zamieszkała w Londynie. Jeśli Sąd Najwyższy nie podważy decyzji sądu apelacyjnego, kobieta ma duże szanse na swoje 6 mld. W wypadku rozwodów brytyjskie prawo jest wyjątkowo przychylne stronie słabszej finansowo – a więc zwykle żonom. Mówi się, że najbardziej na całym świecie. Jak się jest rosyjskim oligarchą, to pozywać dziennikarzy zdecydowanie w Londynie, ale rozwodzić się już jednak w Moskwie. ©℗

WYWIAD

10 milionów funtów na waciki

Kiedyś Wielka Brytania **sama kradła na całym świecie.** Po upadku imperium przerzuciła się na pomaganie ludziom, którzy to robią

Z **Oliverem Bulloughem** rozmawia Magdalena Miecznicka

fot. mat. prasowe

OLIVER BULLOUGH

dziennikarz, autor książki „Moneyland. Why Thieves and Crooks Now Rule the World" („Moneyland. Dlaczego złodzieje i oszuści rządzą dziś światem"). Jego nowa książka „Butler To the World: How Britain Lost and Empire and Found a Role" („Lokaj świata. Jak Wielka Brytania straciła imperium i znalazła sobie rolę") o brytyjskich pomocnikach kleptokratów ukaże się w marcu przyszłego roku

W książce „Moneyland" pisze pan o kleptokratach, a w prawdziwym życiu był pan przewodnikiem „kleptocracy tours" - wycieczek śladami kleptokracji. Na czym one polegały?

Były to wycieczki autokarowe po Londynie, tyle że nie śladami najpiękniejszych zabytków, lecz posiadłości należących do kleptokratów. Musieliśmy przerwać na czas pandemii, ale zamierzamy do nich wrócić. Organizatorem jest Borys Borysowicz, działacz społeczny walczący z korupcją.

Jakie były najciekawsze punkty programu?

Moje ulubione to posiadłość Dmytro Firtasza, oligarchy ukraińskiego, który pracował z Gazpromem. W 2014 r. kupił on od naszego Ministerstwa Obrony Narodowej dawną stację metra Brompton Road niedaleko Harrodsa, która przez lata należała do resortu. Zapłacił 53 mln funtów. Budynek nadal jest pokryty charakterystycznymi kafelkami. Drzwi obok znajduje się druga rezydencja. U Firtasza był zawsze najlepszy ubaw, bo kiedy się podchodziło podziwiać budynek, domownicy dzwonili na policję. Druga atrakcyjna posiadłość to dom Andrieja Jakunina, syna Władimira Jakunina, przyjaciela Putina i byłego dyrektora rosyjskich kolei. Dom kosztował 23 mln funtów i znajduje się w bardzo ekskluzywnej dzielnicy Saint John's Wood. Jest jeszcze drugi największy dom mieszkalny Londynu po Pałacu Buckingham, czyli znajdująca się w Highgate w północnym Londynie gregoriańska rezydencja Witanhurst. Należy ona do Andrieja Guriewa, byłego senatora rosyjskiego, ma 65 pokoi i kosztowała 50 mln funtów.

Ile jest takich posiadłości w Londynie?

Masa. Na każdej wycieczce robiliśmy pięć, sześć, i moglibyśmy organizować nowe wycieczki w nieskończoność. Ale przecież nie tylko Rosjanie i oligarchowie z byłych republik radzieckich mają wielomilionowe posiadłości w Londynie, lecz także Nigeryjczycy czy Saudyjczycy. Do mówienia o nich angażowaliśmy dziennikarzy i ludzi z organizacji pozarządowych walczących z korupcją, takich jak Global Witness.

Dlaczego akurat w Londynie jest tak dużo podejrzanych milionerów?

Pytanie trzeba by zadać inaczej: gdzie indziej mogliby się podziać? Jeśli jest się bogatym – naprawdę bogatym – w zasadzie nie sposób wydać całych swoich pieniędzy, choćby nie wiadomo jak się próbowało. Majątek tylko wzrasta. Jeśli jesteś multimilionerem na Ukrainie, zanim się obejrzysz, cały Kijów należy do ciebie. A jaka w tym przyjemność? Żadna. Dlatego trzeba znaleźć miejsce, w którym można wydać pieniądze. To po pierwsze. A po drugie, musi to być miejsce, gdzie nie będzie się płacić podatków, bo przecież nikt nie chce tego robić, prawda? Jest parę takich punktów na świecie – Nowy Jork, Los Angeles, Miami, Sydney. I Londyn. Londyn ma wiele zalet. Jest świetnie położony – w Europie, ale na wylocie do USA. Londyńczycy uwielbiają narzekać na swoje miasto, ale tak naprawdę wcale nie jest ono złe w porównaniu z innymi. Wbrew stereotypowi nawet pogoda jest przyjemna. Mamy łagodny klimat, bez potwornych upałów, jak np. Dubaj, który walczy ostatnio o podobną klientelę. Dodajmy do tego doskonały transport i w ogóle świetną infrastrukturę.

I wspaniałe usługi.

Tak, bo sukces rodzi sukces. Kiedy raz zaczną przyjeżdżać tu multimilionerzy, tworzy się sfera usługowa dostosowana do ich potrzeb. Powstają restauracje z najwyższej półki, bankierzy obracający wielkimi sumami, fantastyczni prawnicy, potrafiący konstruować imperia finansowe tak, żeby omijać podatki. To bardzo trudne, wymaga lat doświadczenia. W Wielkiej Brytanii zdążyła się już wykształcić kasta prawników, którzy żyją z obsługiwania bogatych. Poza nimi są też księgowi, są ludzie, którzy zajmują się tworzeniem spółek, są firmy PR-owe, a także serwisy concierge, które zajmują się załatwianiem w ostatniej chwili biletów na premiery albo organizowaniem lunchu z księciem Karolem. Kolejna grupa zawodowa przydatna multimilionerom to firmy wywiadowcze, tzw. private intelligence. Obecność międzynarodowych złodziei przynosi pieniądze i pracę wszystkim tym ludziom w Londynie. Jesteśmy jak Floryda dla Al Capone.

A dlaczego Londyn przyciąga tych ludzi bardziej niż np. Paryż?

W Londynie mówi się po angielsku, który jest międzynarodowym językiem, to po pierwsze. Poza tym we Francji podatki są wyższe i rząd jest mniej przyjazny dla wielkich pieniędzy. Władze brytyjskie, niezależnie od tego, czy torysowskie, czy laburzystowskie, od jakichś 50–60 lat są niezmiennie usłużne wobec bogatych. Paryż, owszem, przyciąga bogaczy z byłych kolonii francuskich, m.in. z Afryki Zachodniej. Ale pod względem liczby kleptokratów podział jest taki sam, jak w czasach imperialnych. I Francja, i Wielka Brytania miały imperia, ale to drugie było bez porównania większe.

Korzenie przyjazności Wielkiej Brytanii dla kleptokracji tkwią w imperium?

Tak sądzę. Po upadku imperium mieliśmy wielki sektor finansowy, który nie miał co robić i musiał znaleźć sobie zajęcie. Kiedyś Wielka Brytania sama kradła na całym świecie. Po upadku imperium przerzuciła się na pomaganie ludziom, którzy to robią.

Jak to pogodzić z brytyjskim przywiązaniem do uczciwości?

Bardzo łatwo. Nikt nie chce nieuczciwego bankiera. Wszyscy ci ludzie muszą być krystalicznie uczciwi. Tak samo jest w Szwajcarii. Dostaniesz mandat za wyrzucenie papierka na ulicę. Ale ukradzione miliardy wpływają do banków.

Czy brexit jakoś na to wpłynie?

Nie sądzę. Kraje UE, np. Holandia, nie są wcale lepsze niż Wielka Brytania. Masa ukradzionych pieniędzy idzie też na Maltę, Cypr, do Hiszpanii, do państw bałtyckich. W skandale z praniem pieniędzy uwikłany był duński Danske Bank, jak również niemiecki Deutsche Bank. UE wcale nie ma lepszych regulacji niż Wielka Brytania. Po prostu Londyn ma większą skalę. Panuje tu atmosfera, że jeśli jesteś bogaty, to włos ci z głowy nie spadnie.

Czy ten klimat przyjazny dla dużych pieniędzy wpływa wprost na ustawodawstwo?

Tak. Londyńskie City buntuje się przeciw proponowanym regulacjom wprowadzającym restrykcje dla obracania pieniędzmi. Była sprawa 200 mld z Danske Bank, które w znacznej mierze były zapakowane w brytyjskie limited partnerships (forma prawna spółki w krajach anglosaskich, odpowiednik spółki komandytowej – red.) i które próbowano rozpakować, by dowiedzieć się, skąd są pieniądze. Reforma, która by to umożliwiła, została zablokowana przez menedżerów funduszy inwestycyjnych, ponieważ byłaby szkodliwa dla ich biznesów. Prawa, które obowiązują, nie są przestrzegane, ludzie robią sobie żarty, wpisują jako właściciela firmy Józefa Stalina. Londyńskie City nie ma interesu w bliskim przyglądaniu się, skąd pochodzą pieniądze – i nie chodzi nawet o te ukradzione, lecz w ogóle o pieniądze. Kleptokraci załapują się na prawa i podejście wygodne dla multimilionerów.

Ktoś próbuje temu przeciwdziałać?

Jest dużo dobrych przepisów. Problemem jest to, że się ich nie egzekwuje. Policja jest niedofinansowana i po prostu nie ma mocy przerobowych, żeby ścigać tych ludzi.

Kleptokratom pomaga też ustawodawstwo dotyczące ochrony dobrego imienia. Czy dotknęły kiedyś pana brytyjskie przepisy o zniesławieniu?

Tak. Zrobiłem film o ukraińskiej dziewczynce cierpiącej na hemofilię, która nie może się leczyć, bo jej kraju nie stać na lekarstwa, i matka musi je zdobywać prywatnie. Dla kontrapunktu dałem historię multimilionera ukraińskiego. Przed pokazem filmu dostaliśmy list od prawników biznesmena, że jeśli film zostanie pokazany, ich klient pójdzie do sądu. Dystrybutor się przestraszył i film został utopiony. Tutejsze prawo wymaga, aby wszystko udowodnić. A skoro ci ludzie nie są skazani, to jak ma udowodnić ich winę w sądzie dziennikarz? Efekt jest taki, że brytyjscy dziennikarze po paru latach pracy już wiedzą, co wolno pisać, a czego nie, i sami zaczynają się cenzurować. Dziennikarze amerykańscy zawsze się temu dziwią. W USA pierwsza poprawka do konstytucji zapewnia wolność słowa. W Wielkiej Brytanii tego nie ma i wydawcy po prostu nie mogą sobie pozwolić na procesy, nie stać ich. Nawet jeśli wygrają, to zanim do tego dojdzie, zrujnują się na adwokatów. Kiedy dostaję list od takiego prawnika, wiem, że za jego napisanie dostał zapewne więcej niż ja za cały materiał.

Oligarchom musi bardzo zależeć na dobrej reputacji.

Tak, i mają jeszcze inne sposoby. Lubią być filantropami. To oczywiście nie jest wymysł ostatniej generacji bogaczy. Zanim pojawił się miliarder pochodzenia ukraińskiego Leonard Blavatnik, na Oksfordzie istniało już Saïd Business School, ufundowane przez syryjsko-saudyjskiego biznesmena Wafica Saïda. Blavatnik ma nie tylko swoją Blavatnik School of Government na Oksfordzie, lecz także skrzydło w Tate Modern. Natomiast London School of Economics dostawała dużo pieniędzy od Kadafiego. Fyrtasz dał miliony funtów na Cambridge, żeby móc używać swojego statusu dobroczyńcy w Wielkiej Brytanii do pozywania dziennikarzy ukraińskich. Dodajmy, że dla tych ludzi 5 czy 10 mln funtów to są kwoty jak na waciki. A oczywiście dla uczelni to wielka pomoc. Więc kupują sobie dobrą reputację bardzo tanim kosztem. Poza sponsorowaniem sławnych uczelni dobry dla prania reputacji jest jeszcze np. sport. Roman Abramowicz kupił klub piłkarski Chelsea. Jewgienij Lebiediew wspiera fundacje charytatywne działające na rzecz bezdomnych i fotografuje się ze słoniami. Elena Baturina, żona byłego mera Moskwy (Jurija Łużkowa – red.), wspierała projekty charytatywne mera Londynu Sadiqa Khana na rzecz dzieci i młodzieży.

A kolejne pokolenie jest już wychowane w dobrej reputacji.

Tak, ważną częścią prania reputacji jest posyłanie dzieci do prestiżowych szkół prywatnych. Wielka Brytania ma wiele placówek o tradycji sięgającej stuleci, jak Eton, Saint Paul's, Rugby, Winchester, Westminster. Wiem, że ostatnio wzięcie wśród bogatych obcokrajowców ma też szkoła Millfield. Większość uczniów w tych placówkach to nadal dzieci brytyjskie – i one muszą tego pilnować, bo przecież nie po to chiński czy rosyjski multimilioner posyła dzieci do szkoły w Wielkiej Brytanii, żeby miały za znajomych innych Chińczyków czy Rosjan. Poza tym, te szkoły oczywiście naprawdę dają wspaniałe wykształcenie. A potem łatwy wstęp na doskonałe uniwersytety.

To przerażający obraz. Jest na to jakaś rada?

Bardzo prosta. Egzekwowanie praw, które już mamy. Ale zawsze są powody, żeby tego nie robić. Kryzys finansowy, COVID-19 itd. ©℗